Krupa charczał i dyszał coraz szybciej. Zdawało mi się, że to charczenie jest we mnie. Czyżby to był jakiś odmienny przebieg jednego z jego codziennych ataków choroby Adamsa-Stokesa?

— Ludzie, ratujcie mnie — powtórzył znów wezwanie, którym nas dręczył od rana. Uniósł się wyżej na poduszkach. — Dajcie choć aspiryny albo czegoś. Czy nie macie litości?

Dyszenie wzmagało się. Zwlokłem się ze swego łóżka i zacząłem baczniej obserwować Krupę. Przywykliśmy do jego narzekań i przestaliśmy na nie reagować. Ostatecznie, lekarze sami wiedzieli, co mu jest potrzebne. Ale teraz... Krupa bezsilnie opadał na poduszki, dysząc coraz szybciej i mocniej. Oczy jego to otwierały się, to przymykały. Było w nich coś niezwykłego, coś jakby ekstaza i równocześnie obojętne żegnanie rzeczywistości. Wreszcie opadł całkiem bezwładnie i jego siwa głowa przechyliła się w tył, na poduszkę, zwisła poza nią. Chwyciłem nadgarstek starego, ale nie mogłem znaleźć tętna. Że też pielęgniarka odłączyła aparat EKG z monitorem ukazującym wykres pracy serca...

Wybiegłem na korytarz. Pusto. Te dwa skurczybyki też się gdzieś ulotniły, pewnie do hallu na papierosa. Nie widząc w perspektywie korytarza żywej duszy

popędziłem do dyżurki pielęgniarek. Znalazłem tam dwie — obie podmalowywały sobie brwi. Krzyknąłem:

— Lekarza! Krupa chyba umarł!

Jedna z nich porzuciła szminki, zerwała się i pobiegła w drugi koniec korytarza. Przypomniałem sobie, że przed kilku minutami któryś z lekarzy-kursistów wszedł do osiemnastki, pewnie na zwykłą porcję plotek z samotnie leżącym dyrektorem jakiejś cukrowni. Otwarłem raptownie drzwi. Wybuchnąłem: — Krupa umarł!

Młody lekarz zerwał się z miejsca, popędził. Dopadł leżącego sztywno Krupy, w zdenerwowaniu to szukał pulsu, to przytykał stetoskop do obnażonej piersi starego człowieka. Ale zaraz oprzytomniał, opadł obiema rękami na klatkę piersiową zmarłego i rytmicznymi uciskami zaczął masować jego serce.

Przybiegł i nasz doktor Stokowski. Bez namysłu przypadł ustami do ust Krupy i zaczął wdmuchiwać weń powietrze. Pielęgniarka cofnęła się do drzwi. Lekarze na zmianę masowali serce nieboszczyka.

Nie mogłem pojąć, jak to się wszystko stało. Nie żył oto człowiek, który jeszcze wczoraj tak zażarcie bronił swych poglądów. Wiedziałem, że śmierć kliniczną od śmierci biologicznej dzieli pięć minut. Gdybym i ja poszedł na papierosa z dwoma pozostałymi pacjentami Krupa byłby już nieboszczykiem na amen. Teraz jest jeszcze prawdopodobnie jakaś nadzieja na uratowanie, tylko czy organizm podda się zabiegom? Patrzyłem na starania lekarzy z pewnym sceptycyzmem. Czy można rzeczywiście wskrzesić zmarłego? Czytałem o takich wypadkach w biblii i w gazetach.

W pokoju była już teraz także adiunkt Dramowiczowa, zastępująca w klinice profesora; ona z kolei przypadła do piersi zmarłego. Pielęgniarka podała Stokowskiemu dmuchawę. Pochwycił ją nerwowo i zaczął pompować

staremu powietrze do ust, ściskając jednocześnie jego nos. Wszyscy byli piekielnie zdenerwowani i zmęczeni.

— Kiedyż przyprowadzą ten przeklęty wózek? — warknął Stokowski. — Pokój reanimacji gotowy?

— Tak — szepnęła pielęgniarka.

Wózek właśnie już wjeżdżał. Dwie pielęgniarki i dwie salowe przenosiły nań bezwładne ciało, tymczasem Stokowski nie zaprzestawał wdmuchiwania powietrza, a Dramowiczowa — masażu.

Wyjeżdżali. Pokój reanimacji znajdował się w drugim końcu korytarza, oglądaliśmy go któregoś dnia, gdy ktoś na chwilę zostawił otwarte drzwi. Krupa odjeżdżał martwy, nie ten co wczoraj — były wojak, były partyzant. Teraz: były pacjent. W drodze przez korytarz młody lekarz znęcał się nad jego klatką piersiową, podążając za spiesznie popychanym wózkiem.

Pacjenci w pidżamach i szlafrokach gapili się z pootwieranych drzwi. Szedłem powoli korytarzem, coraz dalszy od białego konduktu. Gdy zrównałem się z wyjściem do klatki schodowej, dwaj z naszej sali, z papierosami w zębach, otwierali właśnie wahadłowe drzwi.

— Co jest? — powiedział Białek przez zęby.

— Nie żyje — wyszeptałem.

Zatrzymali się w przejściu, jak rażeni gromem. Dojrzałem w ich oczach przerażenie. Patrzyli w głąb korytarza. Ostatnia pielęgniarka wchodziła do pokoju reanimacji i zamykała drzwi za sobą. Panowała ogromna cisza.

— Jak to się stało? — zapytał Sobczak.

Ludzie w pidżamach i szlafrokach skupili się dookoła nas. Szliśmy we trójkę powoli w stronę naszej sali. Wszedłszy do niej, zatrzymaliśmy wzrok na pogniecionej pościeli Krupy. Moje łóżko było odsunięte pod samo okno. Przesunąłem je z powrotem na właściwe miejsce, poprawiłem odepchniętą nocną szafkę i siad-

łem na taborecie. A ci patrzyli na mnie wyczekująco. Opowiedziałem im więc wszystko, co stało się w ciągu kilku minut ich nieobecności.

— A czy jest jeszcze jakaś nadzieja? — westchnął Białek, a czułem w tym jego westchnieniu coś jakby lęk.

— Diabli wiedzą.

Milczeliśmy przez chwilę.

— Przecież to są kardiolodzy — dodałem. — Kardiolodzy wysokiej klasy, którzy kształcą kadry specjalistów. W klinice akademii medycznej wszystko jest możliwe. A nawet powinno być możliwe. Nie czytaliście w gazetach? A i tu za naszej bytności ocucili tę babę.

— A dziadek?

— No tak, z dziadkiem im nie wyszło. Ale to była inna sprawa, dziadek był po operacji.

Weszła salowa, by uporządkować łóżko Krupy. Zdejmowaliśmy szlafroki i w milczeniu kładliśmy się, każdy na swoim łóżku. Patrzyłem w szpitalny sufit — czysty, nieskalany, taki sam jak przed kilku tygodniami, gdy tu przyszedłem. W ogóle pozostało wszystko nie zmienione, zmieniali się tylko ludzie. Odeszli ci, wśród których byłem nowicjuszem. Już dawno zostałem na sali nestorem. Białek przyszedł dwa dni po mnie w ciężkim stanie, po zawale. Sobczak zjawił się po trzech następnych dniach — z sinymi palcami rąk, posiniałymi uszami i nosem, z niewydolnością serca. To już nie było to samo, co tamci poprzedni — zwykli, spokojni nadciśnieniowcy. I nie to samo co ja, wieńcowiec, jeszcze wtedy przed zawałami, człowiek właściwie zdrowy, kiepski jedynie przy chodzeniu i innych wysiłkach. Ostatni nadciśnieniowiec wyszedł przed dziesięciu dniami, a na jego miejsce przywieziono ze szpitala w Rzeszowie Krupę — pogodnego staruszka

z chorobą Adamsa-Stokesa, z którego w czwartym dniu zaczął na dobitkę wyłazić nabyty w podróży bronchit. W karetce pogotowia nawalił po drodze silnik. Kierowca wrócił do Rzeszowa przygodnym samochodem po nowy wóz, a Krupa w ciągu trzygodzinnego wyczekiwania wyszedł na szosę w szpitalnej pidżamie, z narzuconym na plecy kocem, by odlać się pod przydrożnym drzewem. Wtedy złapał go atak: nagła utrata przytomności, zwalająca z nóg. Nim pielęgniarz to spostrzegł, Krupa przeleżał całą minutę na śniegu, wreszcie wstał i rozdygotany z zimna wrócił do wyziębionego wozu.

Gdy salowa wyszła, Sobczak mruknął:

— To ten bronchit go zabił. Ale nie tylko on.

Białek raptownie siadł na łóżku.

— A co? — rzucił nerwowo. — Co jeszcze?

— Te wasze kłótnie.

— Pocałuj mnie pan w dupę!

To był krzyk nie tyle gniewu co przerażenia.

— Niech pan pamięta, że jest pan po zawale — powiedziałem spokojnie. — Nie dość, że coraz więcej pan pali, to jeszcze pakuje się pan w gwałtowne wzruszenia.

— Palę, palę — mruczał gniewnie, kładąc się z powrotem. — Osiem dziennie, a paliłem czterdzieści. Pan też...

— Ja palę sześć. I nie miotam. się. Zresztą pali pan już więcej niż osiem.

— Gówno to kogo obchodzi. A wzruszenia, to ech... Człowieka cholera brała i cholera bierze. Potrzebne było to spotkanie, akurat w szpitalu. Ten stary przyniósł tu z sobą wojnę. Zawsze ją musi ktoś z sobą przynosić. Mądry, cholera, że obwieszony medalikami i krzyżykami państwowymi. Wielki, większy ode mnie, co tylko złoty krzyż dostałem.

— Dosyć, dosyć — powiedział Sobczak. — wszyscyśmy ważni z tych partyzantek, z obozów, zesłań. Do obozów trafiali tacy, co nie potrafili w porę nawiać. A do partyzantki trzeba było się nadawać. Czy każdy musi się nadawać? Moje tajne nauczanie też było coś warte. A dostałem, za to tylko podwójne zaliczenie lat służby za czas wojny. I co mi z tego? I tak muszę czekać sześćdziesiątki, żeby dostać emeryturę.

— Dosyć — krzyknąłem. — Sam pan powiedział „dosyć", a teraz pan ględzi. Że też ci nauczyciele tacy gadatliwi...

Zapanowała cisza. Mogłem znów oglądać nieskalaną biel sufitu. Ale nie udawało mi się uciec od toczonych przez cały dzień dyskusji.

Gdy tylko gadatliwy Krupa znalazł się w naszej sali, zaczął od razu opowiadać o swoich wojaczkach w Armii Ludowej. Ledwie skończył opis przygody z karetką pogotowia, przeszedł do tego, jak pod Opatowem jego oddział unieruchomił hitlerowską pancerkę. A potem poszły gadki o całej jego partyzanckiej drodze wzdłuż i wszerz Polski, przerywane tylko wzmagającym się kaszlem i atakami Stokesa, poprzedzanymi nerwowymi zapowiedziami: — Już znowu idzie atak, patrzcie, patrzcie, idzie atak.

Po tych słowach Krupa zaciskał pięści, dostawał drgawek i tracił przytomność. Po kilku sekundach otwierał błędne oczy, rozglądał się po nas jakby ze zdziwieniem, wreszcie, ocknąwszy się zupełnie, mówił: — A to ci cholera.

To był przykry widok. A on zaraz zaczynał dalszy ciąg swej opowieści. Aż wreszcie któregoś dnia doszedł do momentu, jak gdzieś na północny wschód od Warszawy jego oddział spotkał się z Armią Czerwoną i polskim wojskiem. A potem, jak razem szli na Prusy Wschodnie, do samego gniazda wroga (tak powtarzał

za Rosjanami), na niemiecką ziemię. Jak mścili się na Niemcach za wszystkie okrucieństwa i morderstwa, za zniszczony kraj, za gwałcone kobiety, palone domy i rozbijane główki dzieci. Jak on sam czasem „robił porządek" z butnymi Niemiaszkami.

I właśnie wtedy Białek wtrącił:

— Którędy szliście? Przez powiat ostródzki szliście?

— A bo ja wiem? — zastanowił się stary, lecz po chwili potwierdził: — Pewnie szliśmy. To się nazywało Osterode?

— No, tak. A nie zna pan czasem wioski Kotowo?

Krupa podrapał się po głowie.

— Kotowo? — powtarzał. — Kotowo? Gdzie to było?

— Niedaleko od Ostródy, parę kilometrów. Przy szosie na Lubawę, ale trochę w bok.

— Jak to się nazywało po niemiecku? Bo ruscy mieli niemieckie mapy sztabowe i na tablicach drogowych też były niemieckie nazwy.

— Katzen.

— Katzen? Kotowo? Rzeczywiście, tam byłem. Myśmy nazywali to Kacki. Szliśmy przez Olsztynek i Grunwald.

— Zgadza się!

— Potem były takie zalesione wzgórza.

— Góra Dylewska!

— Może i Góra Dylewska. Las naokoło, potem wyszliśmy na pole i w końcu na szosę. I tą szosą do Ostródy. Nocleg mieliśmy po drodze. Tam jeden mój kumpel kropnął Niemiaszka, co po niemiecku się mądrzył. Polaków zatrudniał, co w niewolę popadli.

Białek podniósł się raptownie, zsunął nogi z łóżka, siadł na posłaniu. Patrzył w twarz Krupy z grozą w oczach.

— To było w Kotowie? — wyszeptał drżąc.

— No tak, w Kotowie. W tym Katzen. W Kackach.

Pamiętam tego Niemca. Gruby, spasiony, łysy, nie miał żony, synowie byli w hitlerowskim wojsku, na ścianie wisiały ich fotografie w zielonych mundurach, z tym ich „Gott mit uns". Miał przy sobie tylko córkę, może szesnastoletnią, chłopaki potem na nią właziły, aż uciekła z jednym, z Polakiem, z tych niewolników, psiakrew. A nazwisko gospodarz miał takie jakby polskie, ale nie mogę sobie dokładnie przypomnieć.

Białek nieruchomo patrzył w twarz gadatliwego Krupy. W jego oczach widziałem malujące się napięcie, pod którym domyślałem się nienawiści.

Krupa w pewnej chwili spostrzegł to wejrzenie, poruszył się, zaniepokoił, wreszcie zapytał:

— Czego pan tak na mnie patrzy, jakby mnie chciał zeżreć?

— Jak się nazywał ten gbur? — spytał Białek, nie przestając świdrować go nienawistnym wzrokiem. — Niech pan sobie przypomni, panie Krupa.

Stary przestraszył się na dobre.

— Po co? Czego pan chce? A bo to dziś można pamiętać...

— Może Kuna?

— A pewnie Kuna! Może i Kuna! Chyba tak! — Stary zaśmiał się. — Ale skąd pan to wie?

Białek zamknął oczy. Widzieliśmy, jak zaciska zęby. Wreszcie położył się z powrotem na łóżko. Próbowaliśmy wspólnie wydobyć coś z niego, bo i mnie to wciągnęło, dopraszała się wyjaśnienia tajemnica, która w tym tkwiła, ale milczał. Dopiero po dłuższym czasie, gdyśmy już dali mu spokój, rzucił sam, bez żadnej namowy, suche pytanie:

— I pan też właził na tę dziewczynę, panie Krupa?

Krupa zakaszlał tym razem jakoś sztucznie, jak gdyby grał na zwłokę. Na koniec powiedział jakby od niechcenia: — Ja?

— No a kto? Pan.

— Na dziewczynę? Na jaką?

— No, na tę szesnastkę, w Kotowie, na córkę tego zastrzelonego gbura.

— Nie — oznajmił stary spokojnie. — Ja takich rzeczy ani wtedy, ani nigdy nie robił.

Na tym rozmowa urwała się do wieczora.

Temat wracał potem przez następne trzy dni. Ostatni raz — wczorajszego przedpołudnia. Obydwaj zacietrzewili się bardzo. Charczący Krupa, po kilkunastu minutach dyskusji, czy raczej kłótni, opadał bezsilnie na poduszki, a cierpiący na anginę pectoris i skłonny do zawałów Białek dostawał duszności i chwytał się ręką za serce. W takim stanie zastał ich dokonujący właśnie obchodu lekarz.

— Czyście panowie powariowali! — wybuchnął, ale opanował się zaraz i uśmiechnął się przepraszająco. — Pan chce doczekać się następnego zawału, panie Białek, ja to wiem, że pan prosto do tego celu zmierza. A pan co, panie Krupa, widzę, że panu też nieźle robią te jakieś jałowe spory, które prowadzicie. Ale o co wam właściwie chodzi?

Na wyprzódki chcieli mu wszystko tłumaczyć, zwłaszcza Krupa, dobywający z siebie resztek sił. Ale dr Stokowski uciszył ich podniesieniem ręki: — Stop! Już nie chcę niczego wiedzieć. Ani słowa więcej. Pilnujcie ich, panowie — zwrócił się do mnie i do Sobczaka. — Przecież oni i was niepotrzebnie denerwują.

W toku zwykłych, codziennych osłuchań i badań rozładował atmosferę. Nikt już nie powracał do drażliwego i niejasnego wciąż tematu. Jednak zarówno Krupa jak Białek przeżuwali w sobie coś, co się w nich w ciągu ostatnich dni odnowiło.

Z rozmów przed przybyciem Krupy wiedziałem, że Białek spędził trzy lata wojny na robotach przymuso-

wych. Kilkanaście ostatnich miesięcy przeżył w Prusach Wschodnich. Trafił na Mazura i było mu u niego dobrze. Gospodarz rozmawiał z nim w mazurskiej gwarze, porozumiewali się doskonale, nie używali wcale języka niemieckiego. Pracowali razem, jak równi, Mazur traktował swego robotnika niemal jak członka rodziny. Jadali przy stole we troje z jego córką. Pracodawca obdarzał zapewne Białka tymi uczuciami, których nie mógł okazywać zabranym do wojska synom. Ale co kryło się za tą sprawą, o której słyszałem w rozmowie obu pacjentów?

Tego samego dnia wieczorem, po długich godzinach milczenia, Białek zerwał się z łóżka, rozkraczony szeroko stanął nad rzężącym Krupą i wyrzucił z siebie to zdanie, które powinno paść wcześniej, już wtedy, gdy pytał starego „I pan też właził na tę dziewczynę?", a Krupa odpowiedział, że takich rzeczy nie robił. To zdanie brzmiało:

— Córka Kuny jest moją żoną, rozumie pan, panie Krupa? Ożeniłem się z nią, gdy tylko przyszła polska władza cywilna. To ja z nią uciekłem po tym, jakeście zamordowali jej ojca!

Krupa nie odezwał się ani słowem. Odwrócił się na bok i zakrył głowę kołdrą. My z Sobczakiem też milczeliśmy. Białek stał przez chwilę nad łóżkiem starego, wreszcie wyszedł na korytarz, trzasnąwszy drzwiami.

Poszedłem za nim. Nie mogłem go tak zostawić. Z trudem udało mi się zaprowadzić go do świetliczki oddziałowej, z jeszcze większym trudem — skłonić do mówienia. Potrzebne mu to było dla odprężenia wewnętrznego.

Dni wyzwolenia Mazur były niespokojne, choć działania wojenne nie dotknęły Kotowa w sposób szczególny, bo Niemcy wiali na potęgę. Kuna miał dobrze zaopatrzoną, ale i dobrze zamaskowaną spiżarnię, trzyma-

ną przez wszystkie lata wojny w tajemnicy przed hitlerowskimi policjantami i urzędnikami. Gdy przybyli pierwsi żołnierze radzieccy, poczęstował ich hojnie. Wystarczyło im to, co sam postawił na stole. Choć przychodziło im to z trudnością, starali się zrozumieć położenie gospodarza: że nie jest Niemcem, że synowie służą w niemieckiej armii bez własnej woli, że ziemie te w 1920 roku przypadły Rzeszy Niemieckiej w wyniku prowadzonego niecnymi sposobami plebiscytu i wskutek tego, w okresie dwudziestolecia międzywojennego, nie należały do Polski.

Ale wcieleni do polskiej armii partyzanci przywykli przez pięć lat wojny zdobywać środki żywności różnymi sposobami, również przemocą. Gdy więc żołnierze radzieccy wychodzili z zagrody Kuny nieco podchmieleni, zauważyła to trójka, w której z pewnością znajdował się Krupa. Chciało im się też pojeść i popić. Weszli do gościnnego domu, żądając wódki i przekąski. Gospodarza zgniewało bezwzględne, brutalne żądanie.

— Sam wiem, co gościom trzeba — oznajmił zadziornie. — Ale dać nie muszę.

Wywołał tym oświadczeniem taką samą zadziorność żołnierzy. W toku podnieconej wymiany zdań padły słowa: — Ty Szwabie!

Kuna skoczył ku żołnierzowi, zamierzył się na niego trzymanym akurat w ręce toporkiem. Ale zreflektował się zaraz, odstąpił pod ścianę. Zaczął przekornie odpowiadać po niemiecku. Nie rozumieli go, ale on uparł się, nie wyrzekł już ani słowa więcej w mazurskiej gwarze.

Wtedy wtrącił się Białek. Zaczął prosić żołnierzy, by się uspokoili, to i gospodarz się zmieni i poczęstunek się znajdzie. Żołnierze jednak na własną rękę rozpoczęli przeszukiwanie mieszkania. Po kilku minutach odkryli piwniczkę pod kuchenną podłogą. Kuna skoczył

ku nim i w postawie obronnej stanął na klapie do piwniczki. Doszło do rękoczynów. I wtedy jeden z byłych partyzantów strzelił do „Szwaba".

Wszystko, nawet zeznania Białka w dowództwie wojskowym, wskazywało na to, że żołnierz zabił w obronie własnej. Działo się to przecież na pierwszym skrawku zdobycznej ziemi niemieckiej, tak mniemali wszyscy. Dom Kuny splądrowano, Jadwigę zatrzymano pod dozorem, nie taiła bowiem nienawiści do sprawców śmierci ojca. Toteż, gdy frontowe jednostki trzeciego dnia ruszyły dalej, Białek zabrał dziewczynę i uciekł z nią w obawie przed tym, co mogło zdarzyć się jeszcze w przyfrontowym pasie.

To wszystko wspominałem teraz, myśląc o Krupie, leżącym w pokoju reanimacji. Sobczak nie bez kozery powiedział, że Krupę nie tylko choroba Adamsa-Stokesa zabiła i nie tylko bronchit, lecz i te namiętne spory osłabiły jego psychiczną odporność i być może, również one stały się przysłowiowym gwoździem do trumny. Lecz z drugiej strony wiedzieliśmy wszyscy trzej, że i dla Białka przeżycia ostatnich dni były niebezpieczne. Toteż teraz, gdy Krupa leżał martwy tam, skąd nie dochodziły żadne wieści, milczeliśmy uparcie i solidarnie, wbijając oczy w biały sufit szpitalny. Teraz już nie wolno było po żadnym warunkiem dopuszczać do jątrzenia starych wspomnień tych dwóch ludzi. Stało się to konieczne również ze względu na Sobczaka i na mnie. Moje naczynia wieńcowe dawały o sobie znać przy każdym podenerwowaniu. Jedynie Sobczak ze swą sinicą był, prawdę mówiąc, jako tako bezpieczny.

W ciągu minionych dni próbowałem łagodzić spory i kłótnie. Znałem trochę problemy mazurskie i wiedziałem, że ta ziemia była zawsze terenem tragicznych nieporozumień. Nieszczęsnego splotu historycznych na-

warstwień nie mogli rozumieć ani radzieccy żołnierze, zdobywający Prusy Wschodnie, ani napływający z różnych polskich dzielnic żołnierze czy osadnicy. Tym bardziej trudne były mazurskie sprawy dla trzech partyzantów, dla których Kuna był po prostu Szwabem choćby dlatego, że odzywał się do nich po niemiecku. Jeżeli zaś chodzi o Krupę, to wszystko wskazywało na to, że był on raczej biernym współuczestnikiem dyskutowanych zajść, że nie on strzelił do Kuny i że nie on gwałcił jego córkę, obecną żonę Białka, wziął jedynie udział w urządzonej po zajściach libacji, gdy z zamaskowanej piwniczki wydobyto gąsiory wina i wędzone boczki.

Leżeliśmy tak w milczeniu do obiadu. Dopiero w przerwie między zupą a drugim daniem poszedłem na przeciwległy kraniec korytarza i zapytałem wychodzącą z pokoju reanimacji pielęgniarkę, jak tam z Krupą.

— Dobrze — odpowiedziała. — Żyje.

Ucieszyłem się. Ucieszyłem się bardziej ze względu na Białka niż ze względu na Krupę, któremu już i tak zbyt wiele życia zapewne nie pozostało.

— Ale chyba nie wróci do naszej sali? — chciałem się upewnić.

— Nie wiem — rzuciła siostra na odczepnego i pobiegła dalej.

Wróciłem do sali z radosną nowiną. Ci dwaj ożywili się, sprawiłem im tą wieścią nie mniej radości niż sam przeżyłem. Kończyliśmy obiad już w lepszym nastroju, po nim pokładliśmy się na tradycyjną drzemkę.

I oto po godzinie drzwi naszej sali otwarły się. Salowe i pielęgniarki wtoczyły wózek z Krupą. Chory był przytomny, miał otwarte oczy. Jego klatka piersiowa była obandażowana.

— Czyżby operacja? — szepnąłem do jednej z pielęgniarek.

— Nie — odparła. — Takie powikłania.

Przełożyły chorego na łóżko. A więc stało się na moich oczach to, o czym czytałem w biblii i na sensacyjnych kolumnach gazet.

Zmartwychwstały rozglądał się po sali błędnym wzrokiem i powtarzał: — Co się stało? Spadłem czy co?

Dotykał elastycznego bandaża na klatce piersiowej. Powtarzał w kółko to swoje: — Co się ze mną stało?

Pielęgniarki wyszły. Pozostaliśmy sami, we czterech, jak przedtem. Krupa leżał w pozycji półsiedzącej. Jeszcze raz pomacał klatkę piersiową i znów wracał do swych pytań. Nikt mu nie odpowiadał.

— Spadłem czy co? — nudził bez przerwy. — Musiałem spaść z łóżka i połamać żebra.

Nawracał tak w kółko przez resztę dnia i przez całą następną noc. Nie próbowaliśmy mu niczego tłumaczyć. Bez specjalnej zmowy mieliśmy wszyscy trzej pewność co do tego, że nie trzeba mu mówić o jego klinicznej śmierci.

Noc była straszna. Nie spaliśmy obaj z Białkiem niemal wcale, tylko Sobczak chrapał i pokaszliwał przez sen. Pielęgniarka dyżurowała przy łóżku Krupy przez całą noc. Monitor EKG pokazywał nierównomierną pracę jego serca. Z butli z tlenem siostra bez przerwy podtykała pod nos chorego rurkę, którą stale zrzucał. Do żyły podłączono kroplówkę.

Następnego dnia z rozmów między profesorem a lekarzami domyśliliśmy się reszty. Krupa miał kiedyś połamane żebra, opowiadał nam nawet któregoś z poprzednich dni, jak zrośnięte po jakiejś wojennej potyczce rozłamały się później z powrotem podczas bójki z bratem. Teraz, przy masażu serca, te same żebra jeszcze raz popękały. Sytuacja stała się w ten sposób beznadziejna. Chory nie mógł ani odkaszlnąć, ani wy-

krztusić z siebie flegmy. Każda próba powodowała ból i jęki. Słyszeliśmy więc bez przerwy charczenie, jęki i w kółko te same pytania: — Co oni ze mną zrobili? Spadłem czy co? Czemu mam połamane żebra?

Na drugą noc wzięliśmy obaj z Białkiem pastylki nasenne. I wtedy zaczęła kiełkować we mnie myśl o ucieczce ze szpitala. Powiedziałem to rano lekarzowi.

— Rozumiem — odparł współczująco. — Ale muszę dokończyć pana badania. Niech pan jeszcze trochę wytrzyma.

Wytrzymaliśmy kilka dni, sypiając nocami dzięki pigułkom. W ciągu dnia stawaliśmy się świadkami coraz to nowych wyczynów Krupy. Zrywał z rąk elektrody EKG, zdzierał z siebie bandaż, wstawał z łóżka żeby pójść do ustępu. Musieliśmy pilnować go bez przerwy. Pompowano weń antybiotyki, środki nasercowe i znieczulające, leki wykrztuśne, pokarm z kroplówki, tlen. To wydawał się być już nie Krupa, lecz naczynie pełne chemikaliów, które wchodziły w reakcje poruszające jego ciałem. Elektrycznym ssakiem wypompowywano mu z krtani flegmę, plastykowym cewnikiem odciągano mocz, lewatywami próbowano doprowadzić do wydzielenia kału. Mimo to ciągle zrywał się, by pójść do ustępu, powtarzając w kółko, że w łóżku nie potrafi oddać ani moczu ani stolca.

Ale rozpoznawał nas już. Przypomniał sobie przygodę w karetce, tę z przeziębieniem. Przeczytał sam list od żony, po chwili jednak nie wiedział, że taki dostał. W nocy budziły nas jego długie opowiadania, którymi częstował młodziutką pielęgniarkę. Którejś nocy zaczął jej prawić dusery. Weselał chwilami, śmiał się, próbował śpiewać partyzanckie pieśni. O dyskusjach z Białkiem jakby zapomniał.

Pogodniejsze momenty mijały jednak szybko. Powracał kołowrotek nerwowych wyczynów, powracały

charczenia i jęki, doszły jeszcze przekleństwa, że go tu zamęczają, że zamiast leczyć — robią sobie na nim doświadczenia, jak na króliku.

Miałem już dość tego wszystkiego. W stanowczy sposób poprosiłem lekarza o zwolnienie.

— Jutro — zapewnił mnie. — Dam panu teraz skierowanie do sanatorium, odpocznie pan sobie.

Czekałem więc niecierpliwie następnego południa.

Noc minęła spokojnie. Po zażyciu środka nasennego, spałem dobrze. Ale gdy obudziłem się rano, na sąsiednim łóżku leżał siny, sztywny trup. Uświadomiłem sobie zaraz: tak, tej nocy pielęgniarka miała już nie dyżurować przy Krupie, zobowiązano tylko pielęgniarkę oddziałową i dyżurną salową, by do niego częściej zaglądały.

Struchlały zerwałem się z posłania. Spojrzałem na tamtych dwóch. Sobczak spał jeszcze. A Białek siedział na swym łóżku i dłońmi zakrywał twarz.

Nacisnąłem guzik dzwonka przy łóżku. Wiedziałem, że pielęgniarki i salowe reagują leniwie na te wezwania, ale byłem pewny, że teraz już jest po wszystkim, że nie trzeba się spieszyć. Białek powiedział: — Już dzwoniłem — takim tonem, jak gdyby moje myśli były w nim.

Patrzył na mnie uporczywie, a w jego oczach malował się strach. Milczał przez chwilę, lecz nie wytrzymał. Nie tyle powiedział, co załkał:

— Teraz powiecie, że to ja go zamordowałem.

Skoczyłem, stanąłem przed nim.

— Niech pan przestanie — rozkazałem przez zęby. — Nikt tak nie sądzi.

— Mimo to powiecie — powtórzył. — Powiecie!

Zbudził się Sobczak, spoglądał na nas przerażonym wzrokiem, ale nie zdążył niczego powiedzieć, bo w

drzwiach stanęła pielęgniarka. Popatrzyła na martwego Krupę i wybiegła z powrotem na korytarz.

Wyszedłem z sali, nie chciałem już widzieć tego wszystkiego. Siedziałem samotnie w hallu. Nie pokazał się żaden z tamtych dwóch.

Wróciłem do naszej sali dopiero wtedy, gdy jechał wózek ze śniadaniem. Krupy już nie było, jego łóżko zostało świeżo pościelone. Przywiozą na to miejsce następnego — pomyślałem. — Przyjdzie ktoś inny także na moje miejsce.

Białek leżał nieruchomo i palił papierosa — po raz pierwszy w sali. I na czczo. Nie zabierał się nawet do śniadania.

Nie powiedziałem nic. Sobczak także milczał.

Po śniadaniu poszedłem do gabinetu lekarskiego. Doktor Stokowski wręczał mi właśnie dokumenty zwolnienia, gdy wpadła pielęgniarka dyżurna, wołając:

— Panie doktorze, chyba zawał?

— Kto? — spytał lekarz spokojnym tonem fachowca.

— Białek. Z dwudziestki. Tam gdzie Krupa...

— Wiem — odparł lekarz i nerwowo podał mi rękę na pożegnanie.

Wyszliśmy z jego gabinetu razem. On pobiegł w stronę naszej sali. Ja nie chciałem już niczego widzieć. Poszedłem w stronę wahadłowych drzwi i pchnąłem je. Owionęło mnie świeże, chłodne powietrze.